

Paweł Czapczyk: Nić porozumienia

Jewhen Małaniuk należał do najwybitniejszych poetów i eseistów ukraińskich XX wieku. Przez dekady jego nazwisko nie pojawiało się jednak ani w encyklopediach radzieckich, ani w wydawnictwach rusycystycznych świata zachodniego. Dlaczego?



Jewhen Małaniuk należał do najwybitniejszych poetów i eseistów ukraińskich XX wieku. Przez dekady jego nazwisko nie pojawiało się jednak ani w encyklopediach radzieckich, ani w wydawnictwach rusycystycznych świata zachodniego. Dlaczego?

Jewhen Małaniuk należał do najwybitniejszych poetów i eseistów ukraińskich XX wieku. Przez dekady jego nazwisko nie pojawiało się jednak ani w encyklopediach radzieckich, ani w wydawnictwach rusycystycznych świata zachodniego. Dlaczego? Bo – jak to ujął Jerzy

Stempowski we *Wspomnieniu o przyjacielu* – pisarz podzielił los Ukrainy, która „w oczach Zachodu stała się białą plamą na mapie Europy”.

Małaniuk był wygnańcem. I to wielokrotnym. Najpierw znalazł się w gronie ponad czterdziestu tysięcy żołnierzy Ukraińskiej Republiki Ludowej internowanych w Polsce. On, oficer armii atamana Petlury, bijący się u boku wojsk Piłsudskiego z bolszewikami w kampanii kijowskiej o niepodległy kształt swego kraju, teraz zdradzony na mocy postanowień Traktatu Ryskiego, nie przestawał śnić o wolnej, wielokulturowej Ukrainie. Z nostalgii za Chersońszczyzną, skąd pochodził i dokąd już nigdy fizycznie nie miał powrócić, budował w sobie mit stepowej Hellady, szczęśliwej czarnomorskiej krainy, której prapoczątki kulturowe związane były ściśle z cywilizacją starogrecką. W odwiecznej opozycji sytuował zaś Rosję i Związek Sowiecki, kolejne wcielenia nikczemnej i dzikiej mocarstwowości scytyjskiej, wysysającej serce i umysł Ukrainy.

Przez cztery lata pobytu w „republikach obozowych” Kalisza i Piotrkowa Trybunalskiego Małaniuk nie tylko nie poddał się nastrojom dekadencji moralnej i intelektualnej, lecz – zaangażowany w działalność kulturalną i oświatową – zasłynął jako utalentowany poeta, krytyk i publicysta. Pisząc do redagowanej przez siebie „Wesełki” i innych periodyków obozowych, ocalenia dla ukraińskiej tożsamości narodowej szukał w nawiązaniach do Tarasa Szewczenki, ale też w sztuce wzorowanej na mesjanizmie Mickiewicza i pozostałych przedstawicieli Wielkiej Emigracji. Dobrze orientował się w historii literatury polskiej, lecz – jak zauważył Józef Łobodowski – utrzymywany w wysokich rejestrach styl i patetyczny ton jego wierszy był „funkcją serca, a nie wyrachowania”.

Po odbyciu studiów inżynierskich w Czechosłowacji poeta osiadł w Warszawie. Ustabilizowany życiowo i zawodowo, wiódł całkiem przyzwoitą egzystencję świetnie rokującego twórcy: zaprzyjaźniony z Jarosławem Iwaszkiewiczem i Julianem Tuwimem, a nade wszystko ze Stanisławem Stempowskim, którego traktował jak przybranego ojca, mógł brylować na salonach literackich polskiej stolicy, uczestniczyć w emigranckich sympozjach i konwentykłach, pisać oraz wydawać. Był to bodaj najlepszy okres w jego życiu. Owiany aurą katastrofisty, podnoszący cierpienia swego narodu do rangi uniwersalnych wymiarów, nie szczędził jednak słów goryczy zarówno nacjonalistycznie usposobionym Polakom, jak i coraz bardziej zubożniałym na nurt światowych wydarzeń rodakom. Wiedział też aż nazbyt dobrze, że wszyscy twórcy pozostawieni na pastwę nowego ładu na Ukrainie Sowieckiej zostaną zmiażdżeni przez czerwony terror: albo fizycznie, albo artystycznie. I kiedy w obliczu wojennej kontrofensywy Krasnej Armii poeta na chwilę schronił się na Morawach, dokąd uprzednio udała się jego żona z synem, po chwili znów musiał uciekać. Tym razem oddalał się już nie tylko od swojej zmitologizowanej ojczyzny, ale również od rodziny, albowiem nagła choroba syna pokrzyżowała plany wspólnej emigracji na Zachód.

W drugiej połowie 1948 roku do przebywającego w Ratyzbnie Małaniuka, mającego tyleż skromną, co kradnącą czas i energię posadę gimnazjalnego nauczyciela fizyki w obcym kraju, pomocną dłoń wyciągnął Jerzy Giedroyc. Powołując się na Jerzego Stempowskiego, który notabene był ojcem chrzestnym syna poety, już w pierwszym liście, bez jakichkolwiek ceremonii, namówił go do natychmiastowej współpracy. Nie da się ukryć, że wszechstronny talent pisarski Małaniuka, jego doświadczenia i orientacja w sprawach ukraińskich idealnie współbrzmiały z konkretyzującymi się planami Redaktora, a

dokładnie z jego wizją mentalnego wyzwolenia Ukrainy, Litwy i Białorusi (ULB) spod jarzma sowieckiej dyktatury. Ale i Małaniuk w piśmie tworzonym z niedościgłym uporem i pasją przez Giedroycia i jego najbliższych współpracowników z Maisons-Laffitte znalazł przyjazną przystań i wokandę, na której mógł cyklicznie przypominać szerszej publice o swoim istnieniu. Nieraz z zazdrością i żalem pisał przecież, że jego rodaków nie stać było nigdy na podobną inicjatywę wydawniczą. Głównym ambasadorem twórczości Ukraińca na łamach „Kultury”, akuratnie wywiązującym się z postawionych przed nim zadań translologicznych, okazał się mieszkający po wojnie w Hiszpanii poeta i tłumacz Józef Łobodowski.

Tak oto pomiędzy Giedroyciem a Małaniukiem zawiązała się nić porozumienia i długoletnia współpraca, których świadectwem jest wydany przez Bibliotekę „Więzi” tom korespondencji. Tom, a właściwie tomik, gdyż pisane po polsku listy zajmują mniej niż jedną trzecią zawartości książki. Całość ma przezroczysty układ trójdzielny (wstęp, listy i aneks) i przywodzi na myśl najlepsze prace wydawnicze z czasów, kiedy edytorstwo traktowano jak sztukę. Listów (ponumerowanych) jest sześćdziesiąt. Mają one w większości charakter informacyjno-techniczny i dotyczą kolejnych edycji „Kultury”, w których właśnie znalazły się lub niebawem mają się znaleźć teksty Małaniuka. Redaktor ponagla swego współpracownika, by ten dotrzymywał terminów, a ów przeprasza za zwłokę i prosi o książki, które sam mógłby zrecenzować gdzie indziej – np. w ukraińskojęzycznych czasopismach emigracyjnych. Poeta dzieli się również spostrzeżeniami i komentarzami na temat autorów publikowanych w „Kulturze” – Czesława Miłosza, Józefa Mackiewicza i Mariana Pankowskiego. Oprócz tego podrzuca Redaktorowi rozmaite sugestie i propozycje wydawnicze. A wreszcie prosi, by na poczet honorarium Giedroyc wysłał mu paczkę damskich kosmetyków i męskich perfum, co sumiennie, z dużą dozą

skromności albo też wielkopańskości, realizuje Redaktor. W międzyczasie autor *Hellady stepowej* wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, gdzie początkowo pracuje jako windziarz, a w 1968 roku, dość niespodziewanie, umiera.

Wieńczący całość aneks zawiera trzy szkice: artykuł samego Małaniuka o Izaaku Mazepie i Stanisławie Stempowskim, nekrolog poety napisany przez Pawła Hostowca i dłuższy tekst o twórczości Ukraińca, który w 1968 roku wyszedł spod pióra Łobodowskiego. Jest jeszcze nota edytorska, która może stanowić skrótowe vademecum, służące niejednemu pomniejszemu, mniej wyrobionemu i mniej zasłużonemu wydawcy. Jedyne długie, zbyt długie wprowadzenie, kompozycyjnie wzorowane zapewne na naukowych i krytycznych opracowaniach Ossolineum, pozostawia wiele do życzenia. Zwłaszcza w warstwie językowej i stylistycznej. Ale brakuje w nim również próby porównania apokaliptycznych wizji Małaniuka z twórczością polskich katastrofistów przedwojennych, a także śmiałego, choćby sygnałowego zestawienia drogi życiowej Ukraińca i jego znaczenia dla kultury narodowej z sytuacją – *toutes proportions gardées* – Czesława Miłosza.

Paweł Czapczyk

Tekst pierwotnie opublikowany w "Nowych Książkach"

*** Jerzy Giedroyc, Jewhen Małaniuk, *Listy 1948–1963*. Opracowanie, wstęp i przypisy: Halyna Dubyk, redakcja: Paweł Kądziała, Warszawa 2014, s. 168.**